

Nowicjusze dotarli ponownie w dużej ilości. Widać było po nich, że są zmęczeni podróżą za pomocą Drugiej Drogi. Komtur Marek - blondyn o długich włosach, wielu bliznach na twarzy, orlim nosie i bladej cerze podrapał się po głowie, upił łyk herbaty z filiżanki, a następnie wskazał ręką na rzędy krzeseł, dając znać by przybysze usiedli.

- Kazali mi wytłumaczyć sytuację na tych ziemiach – przemówił, gdy wszyscy usadowili się na niewygodnych miejscach – Teraz wszyscy przyjęli wiarę w Sprawiedliwość. Jedynie nieliczne ośrodki wciąż utrzymują przy życiu kulty, które tu zastaliśmy – upił łyk gorzkiego napoju, myśląc nad kolejnymi słowami – Ale, gdy tu dopiero wkraczaliśmy istniało tu wielkie, heretyckie imperium, królestwo Rouru. Do dziś wiele sił odwołuje się do jego historii. Miało stabilną politykę, świetną gospodarkę i chwalebne zwycięstwa na polach bitew. Jego ziemie były urodzajne i bogate. Władał w nim stary król Edward, umiejący dobierać najlepszych spośród generałów i czarodziejów na swoje otoczenie. Mówiąc krótko: przed państwem rysowała się jasna przyszłość. A jednak, niczym najłabsze spośród księstw upadło i to w zaledwie kilka lat. Dzięki nam, rzecz jasna.

- Skoro to państwo było tak silne, to czy nie próbowało na nas kontratakować? Słyszałem, że zwycięstwo nie przyszło tak łatwo – zapytał się siedzący na jednym z ostatnich krzeseł ciemnowłosy mężczyzna w średnim wieku, o wyłupiastych oczach.

- A jakże – uśmiechnął się delikatnie. Tylko jeden z nowych zakwestionował jego słowa. To była dobra, pokorna dostawa – Mieli jedno uderzenie, z którego zrodziła się legenda. Możecie dzisiaj słyszeć o wielkim starciu, jednak ja wam przedstawię nieco inny obraz. Podczas zdarzeń tamtych lat zyskałem swój stopień, więc pozwólcie mi opowiedzieć nieco stroniczą, skróconą wizję powstania czaru i związanej z nim historii o portalu, istniejącym do dziś.

...

- Kazali ci zinfiltrować ich miasto – do młodego rycerza podszedł generał Aleksander, jeden z dowodzących atakiem Zakonu Sprawiedliwości na nowy, wcześniej nie zbadany przez rycerzy kontynent – Spośród wszystkich naszych ludzi jesteś najpodobniejszy do nich z wyglądu. Łatwo będzie dla ciebie wtopić się w otoczenie.

- Naprawdę? – Marek podniósł brew, nieco zdziwiony zachowaniem przełożonego – Zawsze mówiłeś wprost, dlaczego mnie wysyłają do pewnych zadań. Przecież wiem, że chcą mnie posłać na śmierć z powodu tego, co powiedziałem marynarzom.

- Faktycznie – dowódca wzruszył ramionami – Chcieli dokonać na tobie egzekucji, ale przekonałem ich, że jesteś bardzo oddany naszemu bogu i bardziej się przydasz, jako wywiadowca – podrapał się po głowie – Co nie zmienia, że masz ich rysy twarzy i cerę.

- Dzięki - odpowiedział.

Nie było żadnej wątpliwości, że tak niski wymiar kary zawdzięczał jedynie wstawiennictwu wybitnego generała. Kilka dni temu, podczas jednego z patroli zauważył na morzu statki z flagami królestwa Rouru. Pomimo zagrożenia, podjechał aby zliczyć flotę wroga. Nie dość, że nie zdołał tego zrobić, to przed powiedzeniem o całej sprawie sztabowi, poinformował o zbliżającym się wrogu marynarzy, co skutkowało wpadnięciem w panikę całego oddziału. Wkrótce wróg całkowicie zniszczył okręty, które przewiozły armię zakonników na nowy kontynent. Choć Słudzy Sprawiedliwości, jak sami siebie

nazywali, mieli całkowitą przewagę na lądzie, to ich statki były źle skonstruowane w porównaniu do armady Roru. Stąd też utrata morale ostatecznie wpłynęła na przebieg starcia na morzu.

- Ruszasz już teraz. Masz przy sobie wszystko, co potrzebne – z zamyślenia wyrwał go głos Aleksandra – Powodzenia, chłopie – klepnął go w ramię.

- Jasne – spojrzał na bezksiężycowe niebo – Sam mam tam przejść?

- Przecież nie dadzą ci jeszcze eskorty! – popatrzył na niego z politowaniem – Zupełnie nie obchodzi ich twój los. Sama misja też nie jest ważna. W bitwie pod Sed upewniliśmy się o naszej przewadze nad wrogiem.

- Yhm – mruknął, zdejmując zbroję, na której widniał herb państwa, *błękitny płomień*.

Przez pierwszy dzień szedł na południe, aby oddalić się od rodzimych wojsk. Dopiero drugiego dnia wędrówki do stolicy Rouru, miasta o takiej samej nazwie skierował się bezpośrednio na nie. Przez cały czas żywił się suchym, twardym chlebem i pił wodę z licznych strumyków, które napotykał na drodze. W końcu dotarł do bram stolicy, które pozostawały zamknięte. Zapewne obawiano się szybkiego ataku, z którego po zaledwie kilku miesiącach od inwazji zdążył zasłynąć zakon. Przekonanie strażników, że podróżnik jest jedynie przestraszonym uciekinierem z ostatniego starcia z napastnikami nie było trudne. Wkrótce znalazł się wewnątrz metropolii.

- Poprowadzimy cię do koszar – odezwał się po krótkiej chwili milczenia żołnierz – Błękitni zabijają kogo tylko mogą. Będziesz dla dowódców cennym źródłem informacji.

Rycerz udawał przez chwilę, że kaszle, aby ukryć uśmiech, który mimowolnie wykwitł mu na twarzy. Sprawiedliwość trzymała nad nim pieczę – to było pewne. Ledwo co wdarł się do siedziby heretyków, a teraz jeszcze czekało go spotkanie z ich strategami. Przy odrobinie szczęścia mógł podać im plan, prowadzący do zguby.

- J.. Jasne – udał przestraszonego, gdy już przestał się krztusić – Ilu tu już macie takich, jak ja? – zapytał się, zmierzając szybkim krokiem za strażnikiem.

- Zaledwie kilku. Nie martw się, nie poślą cię ponownie do bitwy. Cenniejszy będziesz w sztabie dowodzenia.

- Dziękuję – wyciągnął sztylet, bawiąc się nim w palcach przez resztę drogi.

Wkrótce znalazł się przy wysokiej wieży obronnej, mieszczącej się pośrodku miasta. Była zbudowana z kamiennych bloków sklejonych zaprawą murarską. Budowla musiała być już stara, jednak wciąż solidnie się trzymała.

- Dalej idziesz sam – przewodnik kiwnął głową na pożegnanie i ruszył z powrotem.

Zakonnik otworzył szerokie, drewniane wrota, a następnie ruszył schodami na sam szczyt baszty. Przez chwilę zastanawiał się nad opracowaniem strategii już w tej chwili, jednak szybko z tego zrezygnował. Bez informacji nie mógł tego zrobić. Wszedł do jedynej komnaty na ostatnim piętrze.

Jego oczom ukazał się bogato zdobiony pokój z wieloma obrazami i złoceniami. Został wyłożony marmurem. Wewnątrz siedziało kilku mężczyzn w średnim wieku, jedzących ciasto owocowe i popijających herbatę. Na widok przybysza przerwali swoją rozmowę.

- Uciekinier? – po chwili milczenia odezwał się pierwszy z nich.

Miał krótkie, blond włosy z siwymi pasemkami, drobny nos i niepozorną posturę. Pótleżał na jednym z foteli.

- Tak. Marek – wyciągnął rękę do dowódców, którzy po kolei wstawali i ściskali jego dłoń, przedstawiając się.

Nie zapamiętał wielu imion, jednak zorientował się, że blondyn nazywał się Kazimierz i był marszałkiem, a najstarszego ze wszystkich, mającego na oko 50 lat, szerokiego w barach mężczyznę uznawano za dowódcę magów. Chyba określano go mianem Władysława.

- No dobrze – odezwał się jeden z mniej znaczących generałów – Jak im uciekłeś i co o nich wiesz?

- Zrzuciłem opancerzenie i ukryłem się w rzece. Przepłynąłem ją, a mętna woda mnie ukryła. Po prostu szczęście – roześmiał się niezręcznie, udając zestresowanego lecz po chwili spoważniał – Walczyłem na skrzydle i osłaniałem magów na wzniesieniu. Mogę uzupełnić wasze informacje na temat ich działań.

- Jesteś zatem przedstawicielem oddziału, który trwał w walce najdłużej – wtrącił się czarodziej – To dobrze. Jak sobie radzili na wzgórzu? Jak dotąd nikt ich nie widział z powodu pyłu, ognia...

- Zostali zmiażdżeni tak samo, jak cała reszta. Walczyli tylko nieco dłużej – skłamał.

W rzeczywistości batalia toczona z mniej licznymi czarownikami trwała kilka godzin. Tylko oni byli w stanie zadać poważne straty zakonowi. Z tego powodu należało złamać ich morale i zmusić przeciwnika do uznania ich za bezużytecznych.

- Niedobrze – marszałek zamyślił się i po chwili wznowił wypowiedź – Opracowaliśmy dwie koncepcje. Myślę, że skoro widziałeś bitwę pod Sed, to możemy dać ci i innym uciekinierom zdecydować. Na razie głosowali po równo. Dostajesz od nas prawo do decyzji, która jest lepsza. My, generałowie też nie umiemy dojść do porozumienia. Opowiedz o nich, Włodek.

- Więc tak... - zaczął mag – Pierwsza jest moja. Zakłada użycie wszystkich naszych sił magicznych i obronę nimi Rouru. Mamy razem 20 - 25 tysięcy czarodziejów, w tym wielu Mędrców. Oni umieją nawet wymyślać własne zaklęcia. Nawet, jeżeli podczas walki poniesiemy wielkie straty, to zwyciężymy. Kolejna...

- Drugą forsuje ja – przerwał mu Kazimierz – Zakłada ona użycie wcześniej wspomnianych Mędrców do odcięcia Błękitnym drogi. Zamierzam za pomocą zbiorowego zaklęcia zablokować drogę między kontynentem atakujących, a naszym. Czarodzieje mówią, że to możliwe. W tej sytuacji będziemy prowadzić wojnę na wyniszczenie. Nasze siły magiczne będą zmęczone i najpewniej stracimy stolicę, jednak na drodze obrony kolejnych fortec zniszczymy przybyszy. W końcu nasz kraj jest wyjątkowo ludny, a ich przybyło zaledwie 15 tysięcy – upił łyk herbaty, gdy zaczął chrypnąć i wznowił

opowieść – Z kolei jeżeli zechcą rekrutować ludzi z kontynentu, poznamy ich czary. W końcu z jedynie z powodu tajemniczości tych zaklęć mają taką przewagę.

Marynarka wojenna imperium Rouru już zwyciężyła, a kolejny desant i tak mógł nastąpić najwyżej za kilka lat. Choć dla tubylców odcięcie drogi morskiej mogło wydawać się świetnym pomysłem, to tak naprawdę przypominało to podpisanie wyroku śmierci na własnym państwie. W ten sposób odcinano możliwość kontrnatarć z morza. Wszystko nabierało jeszcze większej beznadziei, gdy było się zakonnikami i wiedziało nieco więcej. W końcu nie tylko statki były w stanie przenosić ludzi. Sprawiedliwość nie osłabłaby w ten sposób swoich wyznawców.

- Jak dla mnie – przemówił po chwili zamyślenia Marek – Drugi plan prowadzi do zwycięstwa. Jest bardziej pewny, choć pełen ofiar.

- Świetnie – marszałek uśmiechnął się szeroko – A zatem mamy plan. Musisz nam wybaczyć, ale nie możemy ci pokazać, jak oni wykonują ten czar.

- Jasne - „uciekinier” pomachał dłonią na pożegnanie i wyszedł z wieży.

Takiej euforii nie czuł od dawna. Właśnie doprowadził do niemal całkowitego załamania obrony przeciwnika. Sądząc po tym, co mówili przywódcy, zaklęcie zostanie wykonane jeszcze tego samego dnia, a w takim razie...

- Atak musi nadejść szybko – mruknął sam do siebie, idąc po ulicy, a następnie wyciągnął swój sztylet.

Przez chwilę bawił się nim, przekładając z palca na palec. Po chwili zaczął kreślić ostrzem dziwne łuki w powietrzu i szeptać słowa litanii. Jak zwykle osiągnął swój cel. W jego ręce pojawił się kawałek papieru, który pośpiesznie zapisał datą tej nocy. Dodał również fragment o swoich poczynaniach, a następnie jego dzieło pochłonął niebieski płomień. W tej właśnie chwili notatka powinna pojawić się w rękach Aleksandra. Odpowiedź otrzymał po niecałej godzinie czekania w eleganckiej, małej kawiarence.

- Dobra robota – niemal usłyszał głos przyjaciela – Powinniśmy być na termin. Uciekaj od heretyków.

Opuszczał miasto spokojny o swoją przyszłość. Zarówno Wielki Mistrz, jak i same bóstwo opiekuńcze państwa nagrodzą go za jego czyny. Gdy nastąpił zmrok, generał dotrzymał danego mu słowa. Stolica niegdyś wielkiego imperium stanęła w ogniu za sprawą zaledwie jednego człowieka.

...

-I na tych wydarzeniach właśnie zrodziła się ich legenda, opowieść o drugiej Drodze. Ani tubylcy, ani większość z nas nie wie, czym jest ten portal oraz gdzie jest skryty. Choć zablokowali nam przejście, my wciąż uzupełniamy siły – komtur zakończył swoją opowieść – Wkrótce dokonaliśmy rozbioru imperium, a nasz przywódca mianował się najwyższym przywódcą duchowych na tych ziemiach. Inaczej mówiąc: Papieżem.

- A państwo określił papieństwem – dokończył ktoś z tylnich rzędów, wychodząc z sali.

Po chwili w sali pozostał jedynie Marek, patrzący się na zachodzące słońce przez kolorowy witraż. Jego światło wydawało się być zniekształcone przez szkło. Zamiast naturalnego piękna widział

rozmazane, dziwne barwy. Na jedynie ułamek sekundy wpadła mu myśl, że to tak, jak jego religia, jednak szybko się skarcił. Heretycy zasłużyli na śmierć.